

Moje przeżycia na Syberii.

Radomska Wanda z domu Danicka urodzona w 1920 roku w Sokołowie pow. Podhajce woj. Tarnopolskie. Rodzice moi posiadali gospodarstwo rolne. Dnia 10 lutego 1940 roku wczesnym rankiem cała rodzina została aresztowana, Matka, Ojczym, siostra lat 8, brat lat 4 i ja. Następnie załadowano nas na chłopskie sanie i zawieziono wraz z innymi polskimi rodzinami /ok. 20/ do stacji kolejowej Dynysów. Tam kazano nam wsiąść do wcześniej podstawionych wagonów towarowych po 15 - 20 rodzin w wagonie, Ludzi było ogromnie dużo z kilku powiatów. Gdy zorientowaliśmy się dokąd nas wiozą, powstał straszny płacz, krzyk ogromna rozpacz i lęk przed nieznanym. Spiewaliśmy pieśni do Matki Boskiej. W wagonie było bardzo brudno, słoma i nieczystości gdyż jak się okazało, był to wagon w którym poprzednio przewożono bydło. Straszny tłok i zaduch, brak żywności, zimno, wprawdzie był piecyk, ale nie było opału. Spaliśmy na piętrowych narach. Pierwszy posiłek otrzymaliśmy dopiero po trzech dniach, owsianka na gęsto z zjełczałym olejem. Następne dni były już nieco lepsze, gdyż otrzymywaliśmy 2 posiłki, około godz. 10-tej czarna kawa i 20 dkg razowego chleba, około godz. 16-tej zupa z suszonej ryby prawie surowej i brukwi, lub zupa z suszonych grzybów z kilkoma ziemniakami, albo owsianka z olejem. Przejechaliśmy stację Baranowicze, gdy opuszczaliśmy naszą ukochaną ojczyznę, rozległ się wielki płacz a wraz z nim popłynęła przez łązy pieśń Serdeczna Matko. W okropnych warunkach jechaliśmy 2 tygodnie, zmarło 5 osób w tym 2 dzieci, zabrano ich nocą w worki i nie wiadomo gdzie pochowano. Tylko jedno kilkumiesięczne dziecko matka nie zgłosiła że zmarło i tak tuliła do siebie tego trupka aż do stacji docelowej Muraszyn. Tam nocowaliśmy na cementowej posadzce. Z tamtąd już wieźli nas samochodami odkrytymi i traktorami przy 40-to stopniowym mrozie w tajgę, po kilka rodzin w jedno miejsce. Matka z umarłym dzieckiem jechała razem z moją rodziną, pochowała je potem pod starą sosną, zrobiliśmy brzozowy krzyż i to była pierwsza polska mogiła, jakich później było bardzo wiele. Podczas jazdy traktorami kilka osób podmrażało sobie ręce, nogi, uszy, ludzie byli bardzo wyczerpani i głodni. Wieźli nas przez tajgę, lesopunkty i posiołki. Była to obłost Komi. Po drodze spotykaliśmy tubylców, którzy byli do nas bardzo życzliwie ustosunkowani, dawali nam chleb, placki i gorący czaj, konwojenci nie sprzeciwiali się, gdyż sami byli głodni i chętnie z tej gościnności korzystali. Na postojach odryglowali z tyłu samochodu klapę i pozwalali nam zejść. W przeciwieństwie do konwojentów, którzy wieźli nas w zaplombowanych wagonach i byli okrutni. Dojechaliśmy do naszego miejsca przeznaczenia. Przywieziono nas do Komi SSRR lesopunkt Kajgorodek - Baza. Przeprowadzono śledztwo i spis wszystkich ludzi. Zakwaterowano nas w barakach długich 30 - 40 metrów z wąskim ciemnym korytarzem a po obu stronach klitki o pow. około 6 m² w której mieściła się jedna rodzina, wszystko jedno czy liczyła tak jak moja 5 osób, czy więcej. Za dwa dni przyjechał ktoś z NKWD i znowu przesłuchanie i segregowanie. Zdrowi dorośli i

młodzież osobno, ja i mój ojczym znaleźliśmy się w tej grupie, moja matka i rodzeństwo pozostało na miejscu razem z innymi osobami w podeszłym wieku chorymi i dziećmi. Dawano im głodowe normy, to też dużo z nich szybko wymarło. Moja matka ciężko zachorowała. Nas wysłano do lasu, pracowałam jako drwal a potem jako flisak. Wiązałam z koleżankami tratwy z młodymi parzonymi a następnie - nieskręcanymi sosenkami, które zamiast lin łączyły duże belki. Na tych tratwach spławiało się drzewo cenne, a mniej wartościowe wpuszczano do rzeki Sysoły i płynęło z prądem do Syktywkaru. Pewnego razu płynąc z koleżanką z cennym drewnem na tratwie w nocy rozszalała się burza, około północy tratwa się rozerwała, koleżankę porwał prąd i utonąła między drewnem, a ja położyłam się na belkę i tak zdążyłam się uratować. W baraku w którym mieszkaliśmy było w zimie strasznie zimno, chociaż było czym palić, mały piecyk rozgrzany do czerwoności dawał wysoką temperaturę tuż przy nim, a na końcu baraku było strasznie zimno. W nocy nie można było spać, gdyż w mchu którym były poprzetykane belki było pełno robactwa a szczególnie pluskiew. Tak okropnie nas gryzły, że bielizna była cała w kropkach od krwi. Ponieważ Matka moja ciężko zachorowała a ojczyma powołano do armii im. Tadeusza Kościuszki, pozwolono mi powrócić do Matki i młodszego rodzeństwa. Zaproponowano nam rosyjskie paszporty. Ja i kilkoro moich towarzyszy niedoli nie przyjęliśmy. A do tego ktoś na mnie donjął, że wspólnie z polskim nauczycielem prowadziliśmy potajemnie patriotyczne i podtrzymujące Polaków na duchu pogadanki, wpakowano nas do więzienia w Wizyndze, mieście w tym samym obwodzie, tam byłam 6 miesięcy. Zwolniono mnie i wielu innych na interwencję nowopowstałego Związku Patriotów Polskich. Dużo osób wolnych wyjechało do armii Andersa. Ja nie mogłam zostawić ukochanej mojej chorej Matki i młodszego rodzeństwa. W dzień pracowałam w lesie, a wieczorami i często nocą pracowałam w szpitalu w Kajgorodku. Ponieważ dużo Polaków zmarło z głodu i wycieńczenia, zostało wiele polskich sierot. Do Kajgorodka przyjechał poprzednio więziony nauczyciel nieżyjący już Piotr Wojciechowski, który w marcu 1942 r. został mianowany mężem zaufania Delegatury Poselstwa Polskiego w Wizyndze. Przy pomocy Polaków zapaleńców na czele z Piotrem Wojciechowskim zorganizowaliśmy Dom Dziecka i Szkołę Polską w Kuziolu, gdzie ja pełniłam funkcję pielęgniarki. Już wtedy dużo polskich sierot trafiało do rosyjskich domów dziecka, to też mając pozwolenie władz radzieckich wyszukiwaliśmy te dzieci i lokowaliśmy w Polskim Domu Dziecka. Ja pracowałam w dzień w lesie, a nocą w Domu Dziecka. Moje rodzeństwo też zostało tam umieszczone. Staraniem Związku Patriotów Polskich, który powstał wiosną 1943 r. władze radzieckie powzięły decyzję przesiedlenia Polaków z Komi do południowych części kraju. Wypłynęliśmy statkiem rzeką Sysołą do przystani Pustosz, gdzie połączyliśmy się z innymi już zorganizowanymi polskimi domami. Podróż trwała około dwa tygodnie, dopłynęliśmy do Syktywkaru, a dalej do Tambowa pociągiem. Dzięki ogromnej pomocy amerykańskiej, mieliśmy żywność, leki, ubranie i obuwie. W Tambowie dzieci i personel zostały rozdzielone do

kilku miejscowości, ja trafiłam do miasta Mieczuryńska, następnie zbudowaliśmy własnymi siłami Polski Dom Dziecka w Obłówe. Była to mała chata, która mieściła około stu dzieci, warunki były bardzo ciężkie. Ale byliśmy razem i gdy nie było co ugotować na obiad dla takiej dużej gromadki, to sprzedawałyśmy co kto miał wartościowego, jeszcze ostatki swojej biżuterii. Lub poprostu w nocy starsi chłopcy przynosili ziemniaki, kapustę marchew itp z pobliskiego kołchozu. Strażnik rosyjski staruszek udawał, że nie widzi, gdyż sam był przesiedlony i wiedział co to znaczy głód. Do kraju wróciłam z dziećmi wiosną 1946 r. do Gostynina. Tam wspólnie z dr. Marciniakiem przeprowadzaliśmy trzy miesiące kwarantannę dzieci powracających z zagranicy, Następnie przez kilkanaście lat pracowałam w Domach Dziecka.

Matka moja zmarła w 1944 r. w Mieczuryńsku, ojczym zginął przed samym zakończeniem wojny na froncie. Rodzeństwo wykształciłam, mieszkają w kraju.

Przesyłam dwa zdjęcia:

1. Sieroty i personel w Polskim Domu Dziecka w Obłówe przed wyjazdem do kraju.
2. Podczas ciężkiej pracy w tajdze na spławie.

Z serdecznymi pozdrowieniami

Hanka Danilka Rodowka

Adres:

ul. Władysława IV - 16

46-153 Danilka

*(zdjęcie brak. - Hanka Rodowka
15.12.1997)*